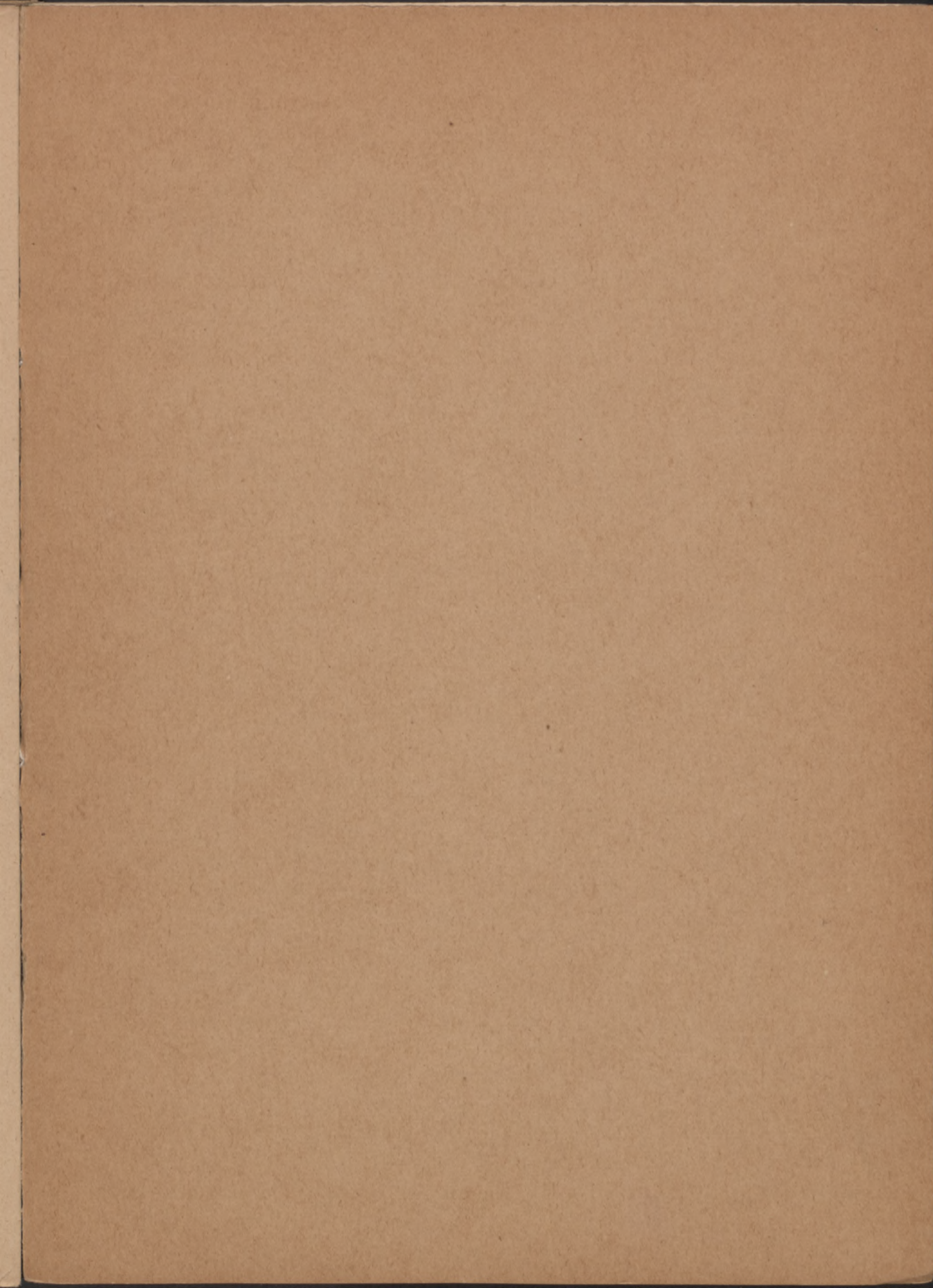


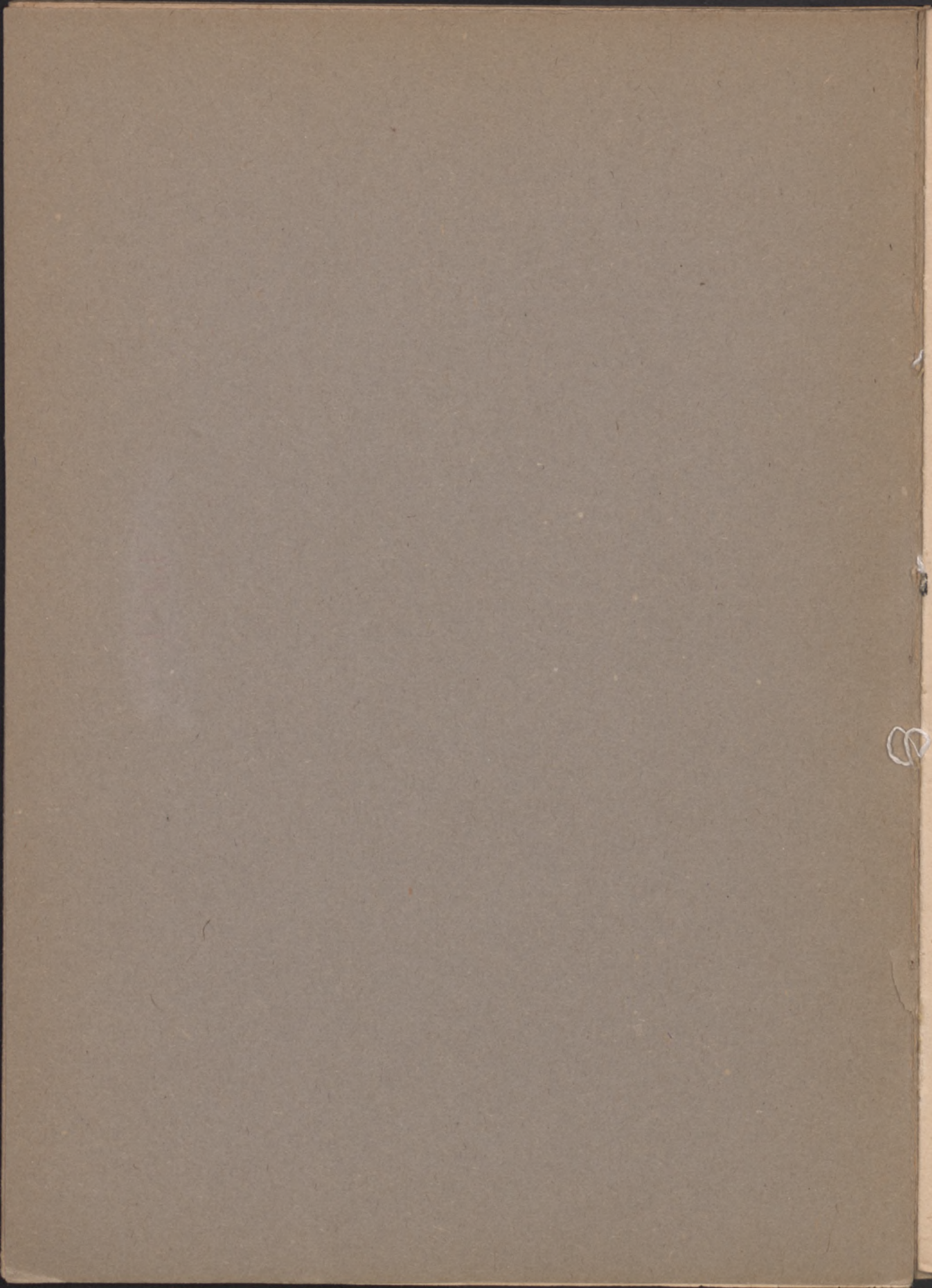
W. W. W.

TADEUSZ MAKOWIECKI

PANI ZOSIA

d. 1/23





99067

17997

TADEUSZ MAKOWIECKI

W SOPLICOWIE PO LATACH

Pamięci Matki — Zofii

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Właśnie bryką w jednego konika, żydowską,  
Co ją biedą lub raczej biedką, niby troską  
Zwą, bo męczy i jęczy, i na boki chyli  
W takt duhy, która skacze ponad łeb kobyli,  
Trząśł się Żyd, grzyb brodaty, garbaty, łaciaty.  
Trząśł się za nim pan chudy. Musiał tu przed laty  
Bywać, gdyż coraz szyję wyciągał z paltotu  
Długą; a konik właśnie mijał koło płotu  
Sad. Drzewa szare, stare, w tysiączne ramiony  
Ciągnęły się do nieba puste, liść strącony  
Gnoił się w trawach czarny, kiedy gnuśnie opadł.  
Podróżny patrzył, z ręką przy szyi. (Listopad).  
Wtem przez kraty gałęzi i przez szmaty liści  
Rude, we mgle z wilgoci, niż obłok srebrzyściej,  
Czyściej niż oddech i lżej, tuż, tuż ponad ziemią  
Jasność się przesuwiała, znów ją drzewa cienia,  
Znów skroś liście przechodzi jak przez czapy lisie,  
Księżycowym poblaskiem mży, to znowu émi się,  
Aż kiedy się topole półkolem rozwiały —  
Stanął przed nimi w głębi, niby miesiąc biały,  
Kiedy schodzi pod ziemię, w chmur zapada wieńcu  
Do pół jeszcze widny — dwór, na wielkim dziedzińcu  
Sam. Pan zszedł, uroczysty, czapkę w rękę trzyma,  
Idzie, nie wojażera krokiem, lecz pielgrzyma,

1952

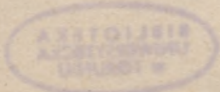
688113



Keio Mitonikiu lid. i dr. polski

Który dziw, że nie klęka, bo odchylił głowę  
I z piersi dobył półjęk, który miał być słowem:  
„Aaa“.

Zwolna ręką przewędrował czoło  
Ruchem zdjęcia pajęczyn, rozejrzał się wkoło,  
Szedł z każdym krokiem prostszy, zimniejszy, surowy,  
Przez schody, drzwi pchnął i w mrok wglębił do połowy,  
Powiało pustką, chłodem, ciszą tak umarłą,  
Jakby się tu na wieczność wspomnienie zawarło,  
Jakby się tu kamienną podnosiło płytę  
Nad jamą familijną, gdzie w ceglach ukryte  
Wieka... Aż od dna zmierzchu, spod jednego wieka  
Wyszły oczy pół-sowy, pół-psa, pół-człowieka:  
W lewo sunęła postać, gdzie przymknięte dźwierzce  
Nagle otwarła, nagle znikła nietoperzem,  
Tylko pisk mdłym chichotem zmilkł pośród baranic.  
Podróżny paltot zrzucił, nie baczący na nic  
Wszedł. W izbie jeszcze pomrok od okna szarawy  
Bielił ściany na siwo, niżej proste ławy,  
Pod oknem biurko, ot, jak w dworskiej kancelarii,  
I dym jeszcze, i klęcznik pod obrazem Marii  
Pusty. Podróżny znowu grymas złej ironii,  
Złośliwą pajęczynę zdjął ręką ze skroni,  
Patrzył w plamy na murach. Gdy wtem za nim z boku  
Oddech doszedł zmęczony i suwanie kroku  
Ostrożne. Cień zgarbiony w drzwiach, ciężki i stary,  
Kraęła głowa, nieufnie patrzył znad czamary,  
Podszedł, nagle szponami palce rozczapierzył,  
Jakby chciał chwycić, nie mógł, cofnął się, nie wierzył:  
„Tyżeś to, Hrabio?“ Oczy wysadził z orbity:  
„Hrabia! Gościu kochany! Gościu znakomity!“  
Już biegł i ręce drżące w blask wyciągał z cienia,  
Zarzucił. Hrabia twarzą przylgnął do ramienia,  
Poczuł tytoń, łyzy, szorstkość sukna, zapach wosku  
I że ktoś tak po prostu, tak go po ojcowsku  
Ogarnął, rozdygotał, szukał starczą głową  
Podpory, puścił znowu i objął na nowo.  
Wreszcie cofnął krok, spojrział: „Wszyscy pańscy święci!  
Skądżeś Hrabio, i odkąd?“ — „Dziś. Prosto z Florencji“.  
Hrabia znów się do sztywnej postawy przerzuca.





Sędzia śmiech miał pęknięty i bez echa płuca:  
„Ot, gdybym dzisiaj przybył, choćby z Nowogródka,  
Jeszcze by ta odpowiedź była mi przykrótka.  
Z Florencji... proszę, proszę — i z innego tonu —  
Ale gdzie to jesteśmy? Proszę do salonu!“  
Hrabia wstrzymał go: „Może tu, do interesów  
Lepsze miejsce?“ Lecz Sędzia: „O, do kroćset biesów!  
Dosyć spraw do południa, a to już odwieczesz.  
Przecież mnie nie odjedziesz, Hrabio, nie ucieczesz.  
Musimy się nacieszyć za lat tyle... ile?“  
Przymilkł, rzekłbyś, że nagle stanął przy mogile  
Tych lat i dni, i ludzi, których dzisiaj nie ma.  
Bo ręce wznosił, chciał może rękami obiema  
Włosy rwać; lecz je strzepnął niecierpliwie gestem.  
„Ot, stary — ciężko sapał — widzisz, jaki jestem  
Stary. Jużem zapomniał, co gospodarz czyni.  
Gość w dom, Bóg w dom, lecz wprzód powiedz gospodyni...  
Nie, nie, Hrabio — tu ruszył paluchem — mnie wierzaj.  
Gdy niedziela — nie dziełaj, gdy wieczór — wieczerzaj“.  
Zaśmiał się, szedł, coś ręką precz od siebie pędził.  
Już w sieniach grzmiał i huczał, i mruczał, i zrzędził,  
Aż ucichł. Hrabia w izbie sam został pochmurny,  
Patrzył w ziemię, ale był coraz bardziej górny,  
On także zobaczył grób. W izbie pobielanej  
Zakrystią oddychały, odpychały ściany  
Przez kurz i zimę. Wiatr gdzieś konary zatarga,  
Ale tu nie dochodzi ani szum, ni skarga —  
Spokój głuchy, kamienny. Po niemałej chwili  
Sędzia wrócił, długo tak stali, nie mówili.  
Gospodarz niespokojnie gościa okiem badał,  
O wieczerzy napomknął, ów nie odpowiadał.  
Aż zaczął: „Powiedziałem Zosi, więc się cieszy“.  
Wtedy Hrabia dopiero: „I mnie się też spieszy  
Do niej ogromnie“... Sędzia aż drgnął sercem na to,  
Gdy go ten głos obryzgał strugą lodowatą.  
A ów mówił: „Gdym jechał do niedoszłej wdowy,  
W miasteczku dowiedziałem się o synowcowej  
Niedoszłej“ — tyle wpełzło do gardła goryczy,  
Że słowo w krtani chrapie, a na zębach syczy.  
„O, polska Penelopo! Wierna Heloizo!

Kobieto-Polko! Ty znasz lekarstwa od zgryzot.  
Młoda żonko Saka! "... Sędzia go okiem zmierzył  
Spode łba, nagle w barach rozdał się, rozszerzył  
Dębem, który już szumiał jesieni czterysta,  
A trwa, stoi. „Nie, Hrabio, nie! Ona jest czysta“.  
I ramiona aż trzasły, na grzbiecie załamał,  
I ruszył w skos przez izbę, targał się i łamał,  
Nawracał, mruczał, chodził człapaniem niedźwiedzi,  
Nie baczył, czy kto patrzy, nie patrzył, czy śledzi,  
Aż podszedł i tym szeptem, co się w gardło wrzyna,  
Odetchnął w zmierzch, wprost: „Moja, moja tylko wina“.  
I naraz zmałał dziwnie, małał każdej chwili,  
Oburącz wparł się w biurko, coraz niżej chyli:  
„Gdy spod Lipska tu przyszła wieść o Tadeuszu  
I o klęsce... puściłem pierwszą mimo uszu.  
Przyszła trzecia, dziesiąta... Dosyć, Hrabio, dosyć!  
Cóż ty wiesz? Te dni, lata, które trzeba znosić,  
Ten dwór... ona w pokoju swoim leży krzyżem,  
A ja błędzę tu sam, sam, dałą czy poblizem,  
Sam we wszystkich pokojach, sam do końca świata...  
Sak przyjechał z niewoli. Mijały trzy lata.  
Trzy lata, tysiąc jeden nocy, co noc baśnie:  
A gdyby? A mogłoby? A jeśli? A właśnie?  
Jeszcze rok. Sak ją kochał. Ona do klasztoru  
Chciała iść... a ja? cóż ja? upiór tego dworu!  
Brogi, płoty w ruinie. Wiem to i przyznaję:  
Całą resztą sił sprząłem, związałem ich wzajem,  
Zakląłem, wymodliłem, wyskamlałem... czemu?  
Ani ona mi córką, anim ojciec jemu;  
Czemu? Pytam się. Nie wiem — i w piersi się biję,  
Moja to, moja wina... ale ja nią żyję  
I oni — dyszał ciężko wciąż — i Soplicowo!  
Oto spowiedź przed tobą — teraz twoje słowo...“  
Tu oczy podniósł ciężkie, rybie z tej otchłani  
Przez zmierzch ku człowiekowi, który trzymał na niej  
Sieć — milczenie. Trwał czarny, aż w tę pustkę ciemną  
„Spowiedź? — wyszeptał z mroku — chyba nie przede mną“.  
Znów cisza długa, straszna, a z niej jak sumienia  
Głos — ten szept nieludzki szedł aż od dna milczenia:  
„A innych grzechów nie masz? Chcesz przyjąć komunią?”

Mam ją — cichszy wargami szept — ale komu ją  
Dam?“ Potem coś wydobył. Sędzia wziął jak gdyby  
Świętość ten zwitek mały, szedł wolno do szyby,  
Jeszcze szedł, nagle pojął. Jakby w piersi postrzał  
Zgiął się, przełamał w sobie: ból w jęk się zaostrzał,  
W szloch pękł. Rozpoznał szkaplerz, Józefa, Maryję...  
W ten wieczór Zosia jemu wkładała na szyję...  
Padł na klęcznik i tulił ten strzęp. Do ust, twarzy  
Hrabia chciał mówić, nie mógł. Jakżeż się odważy  
Głosić resztę? Więc głosem tony oschle bierze:  
„Po czwartej szarzy — wtedy — zjeżdżam ku Elsterze.  
Żołnierze, patrzę, niosą rotmistrza. Jak chusta.  
Kula w płucach. Chciał mówić — krew sklejała usta.  
Wskazał szkaplerz, uśmiechnął się i tak daleko  
Zapatrzył, że oddech wstrzymał i już powieka  
Nie drgnął, nie odetchnął. Wtem z sztabem pióropuszy  
Księżę Józef nadjeżdża, salutuje, ruszy...  
Za godzinę był z nim, tam. Lecz Tadeusz pierwszy,  
Pierwszy, nawet — tam. Oto, Sędzio, jest najszczęszy  
Raport. A także i odpowiedź na twe słowa“.  
Sędzia wstał, trzęsła mu się biedna, siwa głowa,  
Patrzył: jesion pod oknem stoi w płaszczu, czarny,  
A chmury dymią, dymią, dymią jak ofiarny  
Stos — choć ołtarz niewidny — kłębami się dymią,  
Krą roztopioną płyną, cieniem, mgłą olbrzymią,  
W pustkę, w nic napływają wciąż nowe, a wieczne,  
Te same mleczne dymy, dymy bezsłoneczne,  
Powietrzne. Sędzia wolno odwrócił się w ciszy —  
W drzwiach — proszę do wieczery — Starczo pierśią dyszy.  
A ująwszy Hrabiego palcami pod ramię:  
„Nic, ani słowa przed nią — prosił — to ją złamię,  
Nie przeżyje...“ I gościa sterował z półcieni,  
Gdzie z izb dalekich światło wpływało do sieni  
Drzeniem ścieżki. W nurt weszli tej złotawej strugi,  
Minęli sień i pokój mroczny, potem drugi.  
Przez dywan, ciszę, wieczór szli jak do choinki:  
Wieje grzaną żywicą — żarzą się kominki —  
Miodem i rodzynekami. Gdzieś jarzą się świeczki;  
Przez ciemność idą smugą pełgającej steczki  
W ciepło tkanin na ścianach, w tykanie zegara,

W dzieciństwo, które w kłębek, w puch zwinąć się stara.  
By prześnić cię przy babci dobrym szalu z włóczki.  
Tę ciepłą, starą miękkość pamiętają wnuczki,  
Choć babci nie ma. Staną u końca podróży,  
W progę tęczy świec. Hrabia oczy trochę mruży:  
Poznał Zosię... Pod światło, z przymkniętą powieką,  
Prosta, lekka, skroń na bok pochyliła lekko,  
Szły na nią pasma ciche, ciepłe, drżące, łzawe.  
Chciał przykleknąć u drzwi, chciał wyszeptać stąd: *Ave!*  
Co zwiastować jej? Zosia oczy swoje czyste  
Podniosła jasne, proste, do dna przezroczyste,  
Choć zamysłone sobą: wyszła naprzód ręką —  
Poczuł ją w dłoni całą, czułą, mocną, miękka,  
Serdeczną i bezbronna, a szczerą do końca.  
Schylił się, dotknął wargą, lekko była drżąca...  
Trzymał czujnie, ostrożnie, jak — by się nie stłukła...  
Nagle — tak! — Zosia łonem zbyt była wypukła.  
Zwiastowanie? — odgiął się — nie, to Nawiedziny!  
Zajrzał w oczy przymknięte i w obłoczek siny  
U warg. Potem wciąż bardziej prostował się chłodny,  
Znow był bardzo hrabiowski i bardzo swobodny,  
Rozejrzał się: Twarz obok okrągła i czerstwa,  
Oczka strasznie niebieskie, więc przez myśl bluźnierstwa:  
— Oto Józef — wysunął ruchem wielkopańskim  
Dwa palce, szedł, zbliżał się z uśmiezkim pogańskim...  
Drgnął. Sak ręki nie podał. Rękaw nieruchomy  
Zwisał u boku ciężki, pełen sztywnej słomy,  
Lecz garścią lewą palce schwycił jak w obcęgi.  
Hrabia zajrzał w powieki. Dawno takiej księgi  
Nie czytał; jarzyły się — nie figle szyderskie,  
Żrenice mocne, wierne, uparte, żołnierskie,  
Ufne aż w śmierć. A Hrabia coś sobie przypomniał,  
Zajrzy w te oczy jeszcze bliżej i przytomniej.  
„My się znamy...” Ale nim Sak mu odpowiedział:  
„Tak, panie pułkowniku” — Hrabia wszystko wiedział:  
Kłęska. Zima. Czuł jego garść pod łokciem mocną,  
Śnieg kopny, drogę w lasach nieskończoną, nocną...  
Aż Sak: „Czy pan pamiętasz? W lewo, jak ta sofa,  
Wieś i Kózunie, pan nas tam, pod kredens cofa,  
A z drzwi wylażą: dziki, armia, całe stada...”

Hrabia aż okiem błysnął i w słowa mu wpada:  
„A ty, sierżancie, strzelać chciałeś!” — „Pan zabronił,  
I słusznie, bo Kozak by pewnie nas dogonił.  
Nas było tam czterdziestu, a ich ze trzy sotnie“.  
Hrabia znów klęskę wspomniał i jak szli samotnie:  
„Berezyna!” Umilkli. A gość się nieznacznie  
Skierował w stronę stołu i przeproszać zaczyna,  
Że tak się, ot, zagadał z towarzyszem broni.  
Sędzia patrzył uważnie, Zosia głowę kłoni,  
Lecz gospodarz ocknął się i do stołu prosi.  
Sak naprzeciw Sędziego, Hrabia na wprost Zosi.  
Dziesięć świec wysoko się w kandelabrach jarzy,  
Srebro błyska na śniegu serwet spod lichtarzy.  
Hrabia noże herbowne, ciężkie, w srebrze kute,  
Trącał palcem, jak jakąś zapomnianą nutę,  
Rzekł z uśmiechem: „O, zacne te litewskie sztuce,  
Dobre na dzicze, sarnie czy jelenie udźce,  
Masywniejsze niż dzisiaj rękojeście mieczy;  
Lecz ostrza tak niewinne: nikt się nie skaleczy“.  
Zosia dłonią serwetę gładząc przez niechcenie:  
„Pan Hrabia szydzi“. Lecz on: „Nie, właśnie, że cenię  
Szczere srebro i złoto, cóż serce dopiero!“  
„Tak — szybko dodał Sędzia — także lampkę szczerą,  
Bo pełną“. — Tu lał wino dudniąc z głębokości  
Butlą i „Pijmy zdrowie — rzekł — zamorskich gości“.  
Hrabia chciał odpowiedzieć, szykuje wyrazy,  
Gdy zadymią półmiski, wnoszą kaszę, zrazy,  
Stawiają między sery, wędliny; jak trzeba,  
Na drewnianych talerzach długie plastry chleba.  
Sędzia w słowie batutę bierze gospodarza.  
Zosia spuszczone okiem stół bacznie uważa;  
Widzi między kieliszki, łyżki, wśród talerzy  
Dłoń zwiędłą: drży i niby lek kroplami mierzy,  
Znów drży. Obok Hrabiego długie, wąskie palce  
Widelec, nóż, jak smyczek wodzą, zda się — walce  
Sentymtalne grają, lecz tną jak lancetem  
Chirurg. Dalej wypełzła twardo na serwetę  
Ręka czerwona, mocna i za dwie ruchliwa —  
To kruszy, tamto łamie, owo wydobywa.  
Zosia zmarszczki serwety nieuchwytnie gładzi,

Podnosi oczy... Hrabia rozmowę prowadzi  
O Florencji: że niebo tam najbardziej włoskie,  
Że jakbyś cztery karczmy władował żydowskie  
Na most i drogę przebił przez ściany i kramy,  
Tak się idzie przez Arno. Więc z uśmiechem damy  
Pyta Zosia: „A Dawid Michała Anioła  
Jak jest w słońcu?“ A Hrabia „*superbe!*“ — zawoła  
I zaczął o Dianach, Giotcie, Campanilli...  
Zosia błądzi oczami z ogrodów do willi:  
„Znam trochę z ksiąg, z żurnalów, które mam po cioci“.  
Hrabia ją oprowadza, to słońcem ozłoci,  
To osrebrzy księżycem, ocieni cyprysem,  
Kamelie rzuca ku niej przez talerz i misę,  
Brzęknie w słowo italskie, jak w werońską tarczę.  
Sędzia słuchał, lecz wkrótce kwestie gospodarcze  
Podjął Sak, bo ten, chociaż Sędziego się radzi,  
Widać z rozmowy, że już sam wszystko prowadzi:  
Stodoły trzeba poszyć, marnie sypie ziarno...  
Z jednej strony — rozmowa płynęła jak Arno,  
Gdzie w błękit schodzą wille, posągi najcichsze,  
Z drugiej — jak most — przez kramy, wagi, worki, spichrze...  
I łączyły się słowa niespodzianym sztychem —  
O polu i Apollu, o psach i o Psyche.  
Właśnie gdy Hrabia księżyc witał pod Sorrento,  
A słońce żagle górne złociło okrętom,  
Zachodząc... Sędzia spytał: „Jak dziś zaszło słońce?“  
Więc Sak: „Gdy w kaszę siwą, w naczynie kipiące  
Wrzucić krąg masła, topi, rozlewa się samo,  
Już żółte, bure, siwe, już cieniem i plamą —  
Tak było. Teraz cały garnek zaszedł parą“.  
Sposępniał Sędzia: „Mrozy będą przed Barbarą“.  
Hrabia, gdy echo słowa o mgle mu przyniesie:  
„Gdy tu lasem jechałem — duchy widzę w lesie:  
Z mroku wilgoci widma saren czy jeleni  
Zwisaly nad wykrotem, wypelzały z cieni,  
Lżejsze niż puch, roily się duchami knieje,  
A w górze wilkołaki wyły na zawieję.  
Pamiętam, raz w Libanie wchodziłem w katedrę,  
Białe burnusy w zmierzchu mijają pod cedrem...“  
Mówił w oczy gwiazdziste, czyste Zosi. Błada

Dziwi się, prosi: „Boże! jak pan opowiada!“  
A on spochmurniał: „Słowo, rzecz błaha i krucha,  
Cóż słowo? Ważne jest, że ktoś, jak pani, słucha“.  
Zmilkli. Tu Sędzia trącił o butlę kieliszkiem.  
Hrabia z ręką pod światło, z dalekim uśmieszkiem:  
„Kiedy widzę przed nami takie lampki wina,  
Pełne, skrzące... wiersz pewien mi się przypomina.  
»Przed świętych wizerunkiem — drżą lampki oliwne.  
Innym palą się trunkiem — lampki wina dziwne,  
Światelko się kołysze. — Tu i tam: z milczenia.  
Tylko oliwa — w ciszę. — Wino — w krew się zmienia.  
Duch przenika naturę. Ogień tryska z powiek.  
Podnieśmy lampki w górę! Cel — niech żyje człowiek!«  
Wybaczcie mi, że takim zamorskim toastem  
Czczę starca i żołnierza, i dziecię — niewiaścę.  
Uczta się kończy“. Ale Zosia skubiąc wety  
Zapyta: „Znamy, Hrabio, twą sławę poety —  
To był pański wiersz, prawda?“ Hrabia nie zaprzeczy,  
Chce wyminąć: „Ot, jakieś dawne, błahe rzeczy...“  
Ale Sędzia: „W zaściankach nawet twoje imię  
Znają. Wiersze, pisane na Alpach czy w Rzymie,  
Borem, lasem wędrują — tu straż jest omylna,  
Zosia je odpisuje z Nowogródka, Wilna.  
Madrygałów nie kreślą damom do sztambucha,  
Dziś sztambuch niby bomba, dziw, że nie wybucha“.  
Tu Sak, który na Zosię patrzył, doda cichy:  
„Nie tylko wiersze, książki zwozi, kopersztychy  
Z Napolionem. Ot, cała już domu połowa  
Zrabowana przez wojnę, dziś żyje od nowa,  
Cicha, ciepła...“ A Sędzia: „Babki nam przed laty  
Robiły konfitury, pikle, marynaty...  
Dziś z obrazków, z poezji robi się zapasy  
Na zimę. Co za czasy! — westchnął — nowe czasy!“  
Lecz Hrabia patrzył w Zosię; jej wielkie źrenice  
Mieniły się w płomienie, mrok i tajemnicę,  
Złote, nowe, natchnione, świetliste — jak dusza.  
Wtem spyta: „Pan pamiętasz Odę Perseusza?:  
»Którym za tobą obłąkanymi szedł drogi  
Przez piach Egiptu, żwir Samosierry, z pożogi  
W mróz i znów w ognia żar — salamandrą, feniksem,

A tyś mi oblał ciepłą krwią nogi jak Styksem,  
 Ażem zapomniał skrzydeł za górą dziesiątą,  
 Com grzmiał rozkazy Pegazom, Bellerofontom,  
 Aż idę krzywym w świat potykaniem się, biedą.  
 I śpieszę, Andromedo! walczę — Andromedo!!«  
 Hrabia zdumiony słyszał tutaj swoje hymny,  
 Oczy zamknął, był blady straszliwie i zimny.  
 „Któryżeś cisnął mnie, Losie, cegłom i gruzom  
 Łeb ci podniosę, światu zaświecę Meduzą.  
 Niech kamienieje tragiczną maską błazeństwo!  
 Mędrcom i głupcom, ludom i bogom — Przekleństwo!!  
 Za krew co marznie, za myśl, co stygnie pod czaszką,  
 Za młodość... Dość! dość! nie będę błędem, igraszką...  
 Słysz mnie, Samotna, okuta z gładów czeredą,  
 Ja śpieszę, Andromedo! Walczę, Andromedo!“  
 Podniósł się Hrabia; z bladej, trupiej jego maski  
 Na świat biły od światel borealne blaski,  
 Przeciera białe skronie, zwycięża letargi,  
 Podnosi szkło... „Niech żyje“ — wyrzuciły wargi.  
 Sak: „Wolność“ — dopowiedzieć chciał, lecz Zosia inna  
 Była w szeptcie: „Poezja“, a „Ziemia rodzinna“ —  
 Myślał Sędzia, gdy Hrabia: „Dusza“ — ale wyrzekł:  
 „Polska“. Powstali, każdy swemu sercu przyrzekł.  
 Milcząc do warg przytknęli cierpką woń kielicha,  
 Spływała w piersi czerwień, łykali ją — z cicha  
 Chłodem krwi... Gdzieś godzina wybiła głęboka,  
 A Sędzia rzekł chrapliwie: „Znam ja tego smoka,  
 Co się zowie — Czas. On to zęby na nas szczyrzy.  
 Że tu wolność, poezja była — kto uwierzy,  
 Gdyby nas pożarł. Tysiąc lat męk, zwycięstw wtedy.  
 Cóż? Hrabio! Ja rozumiem twą pieśń Andromedy,  
 Bo patrzę w ślepią czasu...“ Hrabia wznosił do czoła  
 Rękę: „Czas“ — szepnął, potem spojrział dookoła:  
 Prosi o konie, zaraz. Sędzia nie uważa,  
 Burzy się puszy, dziwi... „Jestem *incognito*  
 Za nieswoim paszportem i tylko z wizytą,  
 A muszę dalej jechać, ciągle dalej muszę,  
 Duszę się“. Sędzia chciał już zakłąć się na duszę,  
 Ale po słowie „paszport“ spojrzę w krąg, z ostrożna,  
 Prosi, ale już słabiej, że noc, że nie można...

„Czas na mnie“  
 zwrócił się wprost  
 do gospodarza,



Hrabia zrozumiał, gorycz oblała go wstrętem:  
Musi widzieć się jeszcze dziś z plenipotentem,  
Interesy, procesy, konfiskata groźbą,  
Musi... Sędzia niechętnie potakuje prośbom.  
Gość zwrócił się do Zosi, która siadła cicha:  
„A zresztą, może w laurach Laura do mnie wzdycha,  
Tęskni nocą, gitary słucha na balkonie“.  
Sędzia skinął na Saka: „Niech założą konie.  
Siódma, ale jest księżyc“. Zgryzł pestkę gościny.  
Lecz Sak, gdy słyszy obce, łacińskie terminy,  
Tajny paszport... Sędziego zalecenia łamie,  
Podchodzi... „Kiedy“ — wczepił się palcami w ramię.  
„Kiedy?“ — szepnął. Lecz Hrabia w dół pochylił skronie...  
Sak straszliwą uwagą w twarzy mu utonie,  
Rozluźnił palce, nagle w pięść zacisnął twardziej,  
Na pięcie skręcił, ruszył prosto — nie mógł hardziej,  
Mocniej zakląć czy przekląć, plunąć — drzwi jak w piersi  
Pchnął, runął w sień, butami rumor niósł. O! szczerzi  
Byli ludzie. A Hrabia — głową smutnie kiwał.  
Sędzia krążył przez pokój, nic się nie odzywał.  
Żuł gorycz żółci, charknąć, wyszarpnąć chciał z gardła,  
Z krtani tę limfę wstydu, co mu wewnątrz żarła,  
Rozedrzeć paznokciami, odrzucić... precz za się.  
Zosia cichnie w fotelu, uspokoiła się,  
Błada tak. Wiersz wyrwała żywym skrzepem z piersi,  
Drży z bezsiły i zimna, żar odszedł do wierszy.  
Została pustka, niby po sercu, po drzeniu,  
Po młodości tak szybkiej, po czymś imieniu.  
Hrabia odszedł krok, schylił się nad fortepiano.  
Widzi twarz w czarnym lustrze, czuje woń zmieszana  
Z kurzem dawno nie granych, przetańczonych pieśni,  
Lecz nie śmie tknąć klawiszy, odwrócił boleśniej  
Oczy w blask świec i zaczął: „Jak to u was teraz  
Inaczej, niż bywało i niż jest tam. Nieraz  
Pod nogą grunt tu zadrży, nagle się zatrząsie.  
A może — nie wiem — pękła tylko łąza na rzęsie.  
Może wśród mieczy taniec, gawot świętokradzki,  
Gdzie się stąpa ostrożnie po lustrze posadzki“.  
I drgnął, i ścichł, bo ujrzał, ku Zosi się kłoni,  
Jak łąza za łązami do szeptu warg goni...

„Te łzy, ten żal, ten skurcz — pan mówi — to nie boli,  
 To nic, to walc, to gawot tylko melancholii,  
 I żart, ten krok ostrożny, to gawot w salonie,  
 A skroń, co chyli się, to ot, tak... w dobrym tonie“.  
 Hrabia drżał: „Pani, po tym dzisiaj polonezie  
 Nie wiem jaka muzyka z Polski mnie odwiezie,  
 Bo tu rytm wciąż się zrywa. To kontredans raczej  
 Galopujących żalów, wirowych rozpaczy,  
 To jakiś arcypolski, nowy i nieznany  
 Taniec. Błądzą tu wśród was, człowiek zabłąkany...“  
 Lecz Sędzia przerwał: „Rzekłeś! Ot, co nam dalekiem —  
 Człowiek... Mój Boże! że też bywa się człowiekiem...“  
 „Tyś Polak“ — rzucił Hrabia, ale Sędzia zimniej:  
 „Wiem, Polak dziś to więcej dużo, ale — i mniej  
 Niż człowiek...“ Lecz Hrabia go nie słucha, samotny,  
 Patrzy w okno, a krople po szybie wilgotnej  
 Jak łzy, jak łzy...

Niech słucha, do odjazdu gotów.

Znów sam, znów są odjazdy, a nie ma powrotów,  
 Jak łzom. A tętent ciszy wzmaga się i pieni...  
 „Konie jadą“ — rzekł; wstali, ruszyli ku sieni;  
 Już wilgły paltot wdziewa, sztywną, śmieszłą zbroję,  
 By samotny odjeżdżać na samotne boje.  
 Wyszli na ganek — pusto. To tętniło serce,  
 Chciało wyrwać się. Głucha noc. Sędzia w rozterce  
 Dla Zosi odszedł szukać futra na ramiona.  
 Zostali sami. Ciemność. Cisza nieskończona  
 Dołem nocy, a górą spokój dumny, szumny  
 Szeptem morza, szelestem zbóż, aż nad kolumny  
 Drzew, szum topolowy daleki, polny, wolny.  
 Stoją sami, słuchają w pustce dookolnej;  
 W ogrodzie, na obłokach, na ziemi i w niebie  
 Ciemno, cisza ich słucha zasłuchanych w siebie,  
 Fala dreszczu, bezwoła, godziną powodzi —  
 Nieuchronna, powolna, nadchodzi — podchodzi...  
 Oddech jej pierś cofnął i tchnął ni łzom, ni smutkom:  
 „Czy bardzo cierpiał?“ Cisza i szept w ciszy: „Krótko“.  
 A wyżej szum, spokojnie oddechem powiało  
 Pod niebo, w tę równinę milczącą i białą,  
 Jakby ktoś uspokoić chciał noc półuśmiechem,

Półwestchnieniem, a niebo stawało się echem  
I podawało głosy wyżej, coraz wyżej.  
Zosia oddech znów wchłonie i słowa przybliży  
Do serca. Z odetchnieniem znów na wargach stoją:  
„Ma grób swój tam?” — „I krzyż ma swój — i brzozę swoją”.  
Zosia kolumnę ganku gładzi lekko, lekko,  
Hrabia przez mrok na drogę spogląda daleką,  
Jak się na tym dziedzińcu okręciła w motek,  
Zerwał szarą, potargał wicher-kołowrotek,  
Rozplotły się stąd ścieżki przez lasy i ciernie,  
Nićmi poszły w świat wątle, długie niewymiernie —  
Został motek sam pustym dziedzińcem pod wiatrem,  
Jakimś wdeptanym w piasek antycznym teatrem  
Bez masek, głuchym. Ale już kłębek Ariadny  
Czuł, jemu nie potrzebny. Już labirynt żadny  
Nie wróci go, nie odda... Gdzieś pod czarnym laurem  
Kiedyś przyjdzie się zmierzyć twarz w twarz z Minotaurem  
Ostatecznie — samotnie... Tętni w płucach, w głowie:  
To grunt miękko dał echo podziemne podkowie,  
To nie serce — świat serca naśladowe bicie  
Pulsem miarowym, równym, mdłym, przedrzeźnia życie...  
Koła toczą się kołem, fortuną, odmianą.  
Sędzia zniósł popielice, spojrzą i przystaną,  
Bo oto kłębem nocy spod zmierzchu siwego  
Konie zatoczą koło, dziedziniec obiega,  
Czarnym, dziwacznym widmem wyrosną i wjadą  
W elegię pożegnania wolantem — balladą.  
Sak wyskoczył, gdy z rąk do rąk szły zimne dreszcze,  
Co mówią: Już! już! chociaż wciąż jest tylko: jeszcze...  
Sędzia trząsł się i gościa polecał Maryi...  
A Sak podszedł do koni, plaska je po szyi  
Na płask dłonią, aż drgania po skórze przebiegły.  
Parsknęły, rzą, poczuły żar we krwi uległej.  
„Zdrów, zdrów” — Sak woła, klaszcze w kark, szyje odkryte,  
Aż targnęły wędzidłem, wrą w piasku kopytem.  
Wsiadł Hrabia — zaraz w bieg się poderwały skore,  
W mgłę, w tętent wsiąknięto słowo obce „Nevermore”.  
Gest ręki odjazd szarpnął i nakrył ją cieniem,  
Już wbiegł powóz w mrok, w jesień, zatoczył wspomnieniem,  
Cichł w echu, w tupotaniu, tętnie głuchym, głuchym,

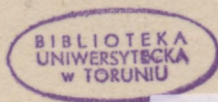
Zapał w pustkę, czekali — odpłynął podmuchem.  
Noc jeziorowa chłodna, a koła po wierzchu  
Kołują, cichną — człowiek utonął w tym zmierzchu.  
*Ad vitam aeternam...* Sak odprowadza żonę,  
Ona świecę ujęła w swe palce stulone  
W kielich święty i idzie — obrzędem — w pokoje,  
Uważna... Sędzia został, zbędny, gdzie ich dwoje.  
Zszedł w ogród, liście szepczą, szeleszczą pod nogą,  
Idzie w ciemność, samotny, nikogo, nikogo.  
Zmylił drogę, przez bruzdy szedł z łomliwym chrustem,  
Zapłatał się, wyciągnął, ślepiec, ręce puste  
W noc, w wicher. Drzewo zmacał, uchwycił. O! chore  
Serce i chora głowa, oparł się o korę.  
„Gdzieżeś jest? Gdzie? Gdzie?“ — Ale o kogo to pytał:  
Przeszłość? Bóg? Człowiek jakiś? — Oddech ciężko chwycił,  
Ruszył znów, liść pod butem szepcze i szeleści.  
„Dziwne, jakże się w myślach to słowo pomieści,  
Że »byłem«, »byłem«“. Patrzy w siebie zadziwiony,  
Potyka się o bruzdy, przełazi zagony,  
Niby z innego świata, żal i lęk, i zgroza,  
Sad szumi, rośnie, gnije, szumi — a on poza .  
Chciał zawołać, przekonać, krzyczeć — nie ma komu.  
Szumią drzewa, och, prędeż, byle bliżej domu!  
Szum. Spuszczzone stawidła nocy, zimie, grozie;  
Rwą otchłanie jak wilki po rżysku i mrozie  
Wprost w okno jeszcze widne. Ukośną aleją  
Może zdąży przed mrokiem, zimnem i zawieją  
W światło i ciepło ludzi, w tę codzienność ludzi,  
Ćmą biegnie, strzygą nocną. Przy oknie się budzi,  
Boi się zajrzeć, nie chce szmeru nadać listkom,  
Niech nie widzą go. Oddał im tu wszystko, wszystko,  
Ale może zakrzykną, może się przerażą,  
Gdy dotknie szyby, wejrzy swą prawdziwą twarzą.  
Patrzy w ten świat, gdzie wszystko gasło po kolei,  
Okiem bez wiary, okiem prawie bez nadziei,  
A wciąż okiem miłości, upartej, straszliwej,  
Wiernej, wiecznej — bez końca, poza koniec, żywej,  
Choć już obcy, daleki. A tych obcych dwoje  
W jego dworze, w pokoju — chodzą z tym spokojem...  
Gdy on już — obcy... Zosia w krześle przy kominie

Po szyję miękkim, ciepłym szalem się owinie,  
Sak chodzi, olbrzym ciężki, jednoręki, cienie  
Chodzą obok posłuszne na każde skinienie.  
Noć za szybami wzbiera, targa szklaną struną;  
Nie obejrzą się nawet, lecz bliżej przysuną.  
Faluje międzygwiazdna, międzyplanetarna  
Nad otchłań, nieskończoność straszniej, zimniej, czarna.  
Zosia obu rękoma podtrzymuje łono —  
Pierwszy ruch dziś. O! znowu, znowu drgnęło ono!  
Czuwa — jak się w tej pierwszej kolebce kolebie.  
Dwa serca i życia dwa, słucha samej siebie.  
Sak podszedł, dłoń swą ciężką wyciąga nad ramię  
Jej, powoli opuszcza, lżej, listka nie złamie.  
Dotknął zupełnie, mocniej. Z dłoni czarnoksięskiej  
Przez żyły płynie spokój poważny i męski,  
A on poza źrenice rozszerzył powieki,  
Wpatrzył w żar, głębiej, w żużel, w iskrę, punkt daleki,  
Aż do drgnienia z dna siebie, aż tam, gdzie się waży  
Ziarna życia, z powagą i blaskiem na twarzy,  
Uważnie, mocno, jasno i z oczami w dymie:  
„Jeżeli syn — powie — to mu damy na imię  
T a d e u s z“.

Cicho było jak na progu zorzy...

A Zosia rękę swoją na dłoń mu położy  
Powoli, jeszcze wolniej odgina ramiona,  
Podnosi czoło, jasna, twarzą w pół zwrócona  
W noc szyb, gdzie wichry jęczą i spokojem gardzą,  
Tak uroczyście bardzo, tak spokojna bardzo,  
Taka prosta. —

-----



Biblioteka Główna UMK



30000651711

Elf. + M

BOILEAU

SZTUKA POETYCKA

Pieśń III

Nie ma węża i nie ma takiego potwora,  
 Który by wam na scenie nie mógł się podobać;  
 Rzemięto upiększone delikatnym pędzlem  
 Z najokropniejszych rzeczy czyni wdzięczny przedmiot<sup>1</sup>:  
 Tak tragedia<sup>2</sup> w łzach cała, aby nas zachwycić,  
 Opowiada cierpienia krwią zlanego Edypa<sup>3</sup>,  
 Oresta<sup>4</sup> matkobójcy wyjaśnia szaleństwo,  
 I dla naszej rozrywki łzami nas zalewa.

<sup>1</sup> Patrz Arystoteles *Poetyka*, (Trzy poetyki klasyczne), s. 8:  
 „Bo naśladowanie jest ludziom przyrodzone od dzieciństwa, i tym to różnią się od  
 innych istot żyjących, że są najpochośniejszymi do naśladowania stworzeniami; że  
 pierwszych wiadomości nabywają za pomocą naśladownictwa i że wszyscy cieszą się  
 dziełami naśladowczymi. Dowodem na to jest i wrażenie, jakie w nas wywołują dzie-  
 ła sztuki. Bo to, na co w rzeczywistości patrzymy z przykrością, to samo oglądane na  
 obrazie w jakim najdokładniejszym przedstawieniu sprawia nam radość, np. kształ-  
 ty najwstrętniejszych zwierząt i trupów“.

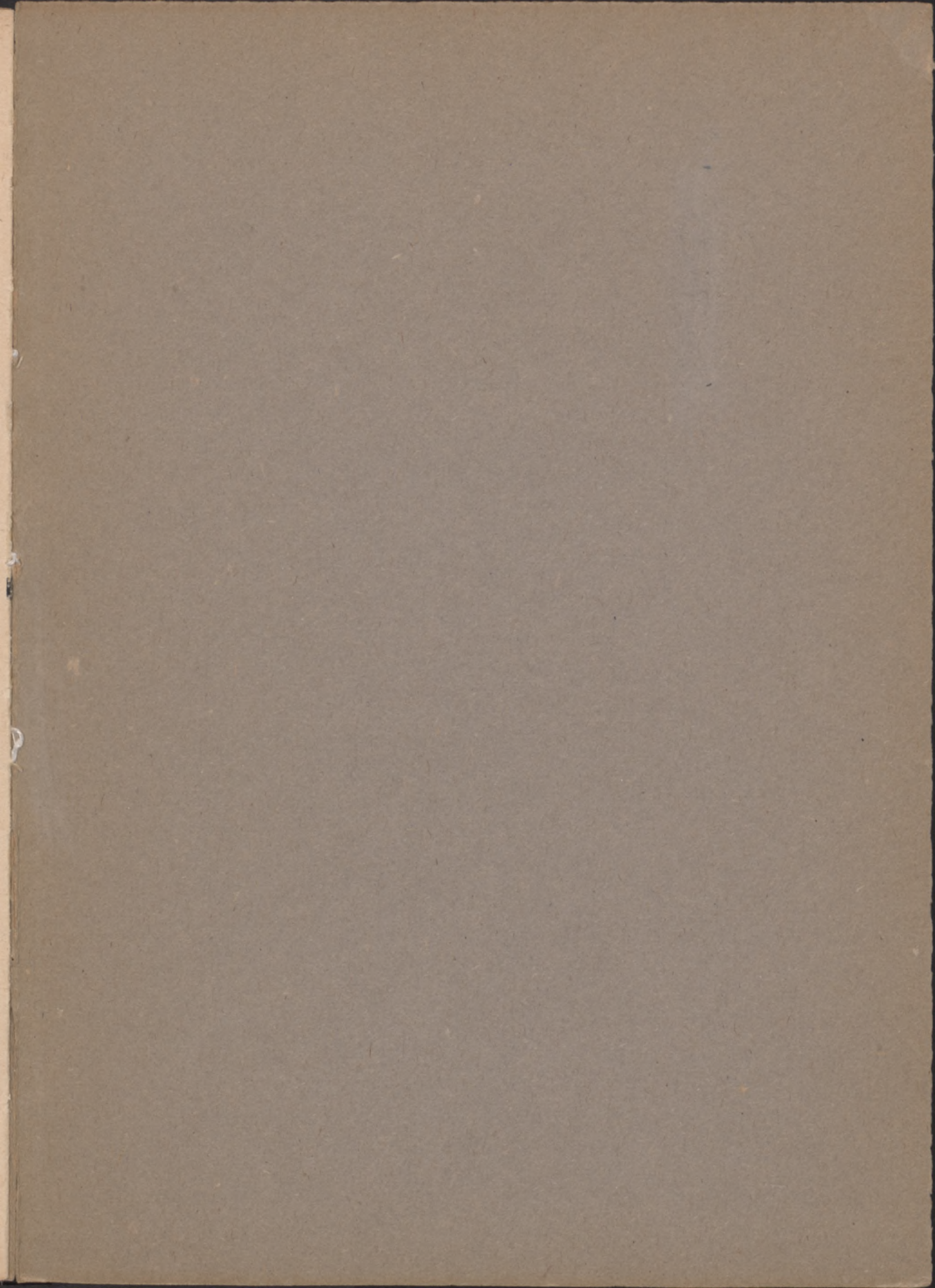
<sup>2</sup> Tragedia (grec. — *tragodia*; *tragos* — kozioł, *ode* — pieśń) — najwyż-  
 szy rodzaj poezji dramatycznej. Dosłowna jej nazwa brzmi „pieśń kozła“. Starożytni  
 Grecy podczas składania ofiary z kozła, który był niszczycielem winnic, śpiewali ża-  
 losne pieśni o cierpieniach bożka wina Bachusa. Później dytamy te przez wpro-  
 wadzenie aktora przetworzyły się w dramat.

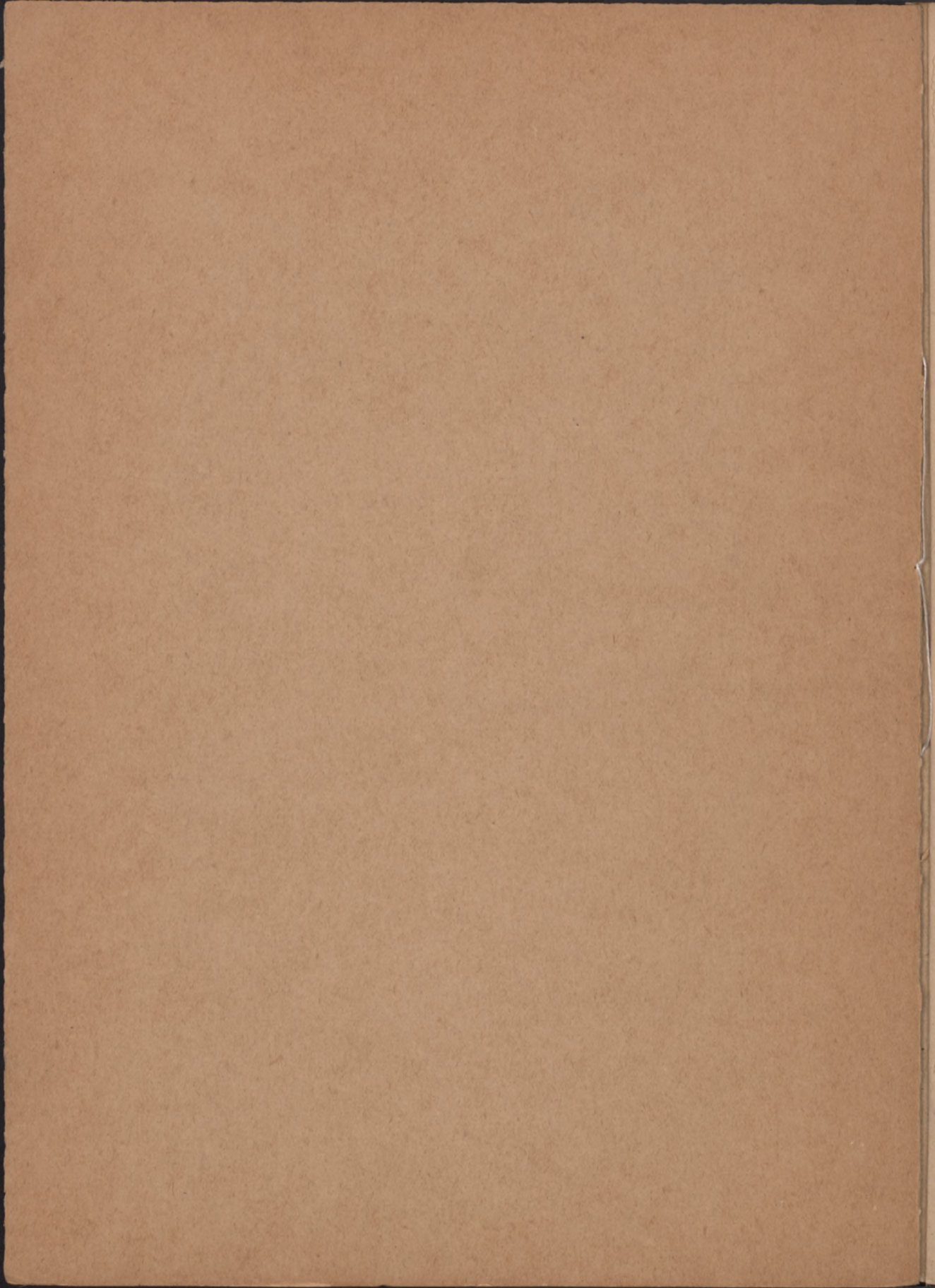
Starożytność przedstawia w tragedii walkę bohatera z przeznaczeniem, później  
 zaś występuje on przeciw porządkowi istniejącemu na ziemi. Tragedia starożytna jest  
 więc tragedią przeznaczenia, zaś nowożytna — charakterów. Tragedię klasyczną obo-  
 wiązują trzy reguły: jedność czasu, miejsca i akcji. Arystoteles w swej *Poetyce*  
 pierwszy sformułował zasadę wzbudzania przez sztukę litości i trwogi. Corneille  
 i Calderon dodali jeszcze zachwyty.

Właściwym twórcą starożytnej tragedii jest Aischylos, zaś nowożytnej Szekspir  
 (Calderon odwołuje się jeszcze do starożytnego przeznaczenia).

<sup>3</sup> Mowa tu o tragedii Sofoklesa *Edyp król*.

<sup>4</sup> *Orestes Eurypidesa*.







..... Powoli podszła do szyby  
Niby cień we mgle złoty, aż się o nią niby  
O mróz, o jęk, o samą noc czołem oparła.  
Sędzia cofnął krok w ciemność, uczuł strach u gardła  
I spazm, bo wtem na szkle tuż złocistym, jak we śnie  
Siedem mieczy zobaczył utkwionych boleśnie,  
Siedem, a potem twarz jej ciemną, mroczną, czarną  
Z blizną łez przez policzek, - znów ją ngły ogarną  
Aż z nich przeświecą ręce jej jasnowidzące  
Półksiężycem otulające, kołyszące...  
Zjeżony strachem cofał krok widząc przed sobą  
Zjawę coraz to imną, wciąż jedną osobę  
Jak ngli się, skrzy, objawia w dymnej złotej ramie  
A potem palce głębiej pod serce załamię,  
By wydźwigać powagę, nieść apoteozę  
Twarzą w twarz wszystkim mrokom, potęgom i grozom  
Przyszłości i wieczności...

Pochylił się nisko.

10000

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

698113